

POLITYKA

TEMAT TYGODNIA

12 Marek Ostrowski

Bezpieczeństwo kosztem wolności?

ROZMOWA POLITYKI

14 Z byłym prezydentem **Lechem Wałęsą**
o żalu do żony i chłopskim wychowaniu

TEMATY NA WIELKANOC

20 Adam Szostkiewicz

Finanse – odwieczny problem Kościoła24 Z prof. **Robertem Piłatem** o krzywdzie i wybaczeniu

OGLĄD I POGLĄD

30 Robert Krasowski **Lech Kaczyński: niemoc polityka**

KRAJ

34 Joanna Podgórska **Jakiej historii uczyć**38 Michał Smolorz **Ślązacy – inni Polacy?**42 Rozmowa z pisarzem **Wojciechem Jagielskim**

o Afganistanie i zmęczeniu dziennikarstwem

46 Marcin Kołodziejczyk

Kelner – co to dziś za zawód

RYNEK

50 Joanna Solska

**Kokosy malinowe, czyli jeszcze jeden sposób
na dojenie Unii**54 Agnieszka Krzemińska **TWARZE BIZNESU****Piotr Napierała: zastał zrujnowane,
zostawia murowane**57 Urszula Szyperska **Dobry kamienicznik poszukiwany**

ŚWIAT

60 Katarzyna Kwiatkowska **ROSJA Kreml od środka**64 Wawrzyniec Smoczyński **LUKSEMBURG****Premier Juncker – wielki polityk z małego kraju**66 Jacek Wan **CHINY Baby boom w Roku Smoka**69 Adam Krzemiński **ESEJ Pastorzy: pasterze narodu**

HISTORIA

72 Marek Henzler **Odmoskwianie w II RP**76 Ernest Kowalczyk **Jak doża głowę położył**

NAUKA

80 Adam Zubek **Jak wędrują kontynenty**83 Paweł Walewski **Lekarz prawdę ci powie?**

TECHNOECHO

88 Edwin Bendyk **Nasi wikipedyści**

KULTURA

94 Tomasz Zalewski **„Igrzyska śmierci”:
przepowiednia dla Ameryki?**97 Piotr Sarzyński **Ile może kosztować obraz**100 Rozmowa z krytykiem **Henrykiem Berezą**
o literaturze i literatach103 **KAWIARNIA LITERACKA** Jacek Dehnel104 Mirosław Pęczak **Mięsny jeź, czyli wesoło w Internecie**107 Piotr Stasiak **Superaudiobooki**108 **MEA PULPA** Kuby Wojewódzkiego

COŚ Z ŻYCIA

109 Rozmowa z antykwariuszem i prezesem klubu **MORD**
Grzegorzem Cieleckim o milicyjnych kryminalach

112 Agnieszka Krzemińska

Do czego służą rytuały przejścia116 Jędrzej Winięcki **Moda na podglądanie ptaków**123 Barbara Pietkiewicz **Fenomen tulipana**

NA WŁASNE OCZY

132 Michał Głombiowski, fotografie Magdalena Nowakowska
Wielki Tydzień w Sewilli

STAŁE RUBYKI

• 4 Mleczko i Mizerski • 6 Ludzie i wydarzenia • 90 Afisz
• 126 Fusy • 128 Stomma • 129 Passent • 130 Do i od redakcji
• 131 Tym • 138 Polityka i obyczaje • 138 Czczot

W NUMERZE

*Sпокоju, wyciszenia i radości
z okazji Świąt Wielkanocnych
życzy redakcja*



20 Kościół i pieniądze

30 Lech Kaczyński
– studium prezydentury

60 Zwiedzamy Kreml

109 Czar peerelowskich
kryminalów

116 Kto i po co ptasi?

132 NA WŁASNE
OCZY
Sewilla
idzie na
procesje



www.mleczko.pl

GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAKOWSKA 140

Sławomir Mizerski: Z życia sfer

Pełna kultura alternatywna

Spacując po centrum Warszawy zauważyłem, że opuszczona od miesiący rejonowa przychodnia zdrowia znowu tętni życiem. W budynku otoczonym szczelnym kordonem policji i urzędników miejskich odbywał się koncert muzyki alternatywnej, na trawniku przed wejściem trwały eksperymentalne warsztaty teatralne. Serwujący bezpłatne wegańskie posiłki squattersi – anarchiści z kolektywu „Alternatywy 4” wyjaśnili mi, że w celu przeciwdziałania ogarniającej miasto martwocie zainstalowali w przychodni centrum niezależnej kultury. Stworzyli w nim własny alternatywny świat, a w przyszłym tygodniu chcą przyjąć pierwszych pacjentów. Dodali, że budynek musieli

zająć nielegalnie, gdyż legalne zajmowanie czegokolwiek jest niezgodne z ich poglądami oraz zasadami kultury niezależnej. – Tylko w nielegalnie zajęтым budynku możemy swobodnie uprawiać niezależną muzykę, głosić niezależne hasła i żyć poza systemem opartym na władzy i pieniądzu – przekonywał Baca, performer z długą brodą i dredami. Wcześniej próbował to wszystko robić w budynkach, do których można było wejść legalnie. Niestety okazało się, że nikogo to nie kręci.

Członkowie kolektywu nie kryją, że przynębia ich wroga reakcja władz na ich działania. – Ci ludzie zupełnie nie rozumieją tego miejsca i potrzeb kultury niezależnej – narzeka

odziana w stary drelch Nika, była studentka finansów i zarządzania. – W każdym normalnym kraju władza zareagowałaby zdecydowanie i starała się wyrzucić nas stąd. Tymczasem od dwóch dni policja stoi bezczynnie i przygląda się temu, co robimy. Zamiast żywej wymiany argumentów, mamy apatię i brak inicjatywy. – Doszło do tego, że urzędnicy miejsca zgłosili wstępną gotowość spełnienia naszych postulatów. Uważamy, że to prowokacja. Jesteśmy anarchistami i wiadomo, że nikt się z nami nie dogada – argumentował Andy, filozof, poeta, malarz i teoretyk kultury alternatywnej. – W końcu nie po to przedstawiamy postulaty nie do przyjęcia, żeby miasto się na nie godziło – dodała Nika.

» Squattersi są oburzeni: w końcu nie po to przedstawiają postulaty nie do przyjęcia, żeby miasto się na nie godziło.

Kilka dni temu urzędnicy, nie pytając członków kolektywu o zgodę, posunęli się do tego, że zaproponowali pomoc w znalezieniu im miejsca, w którym będą mogli w spokoju prowadzić niezależną działalność. Ale kolektyw zapewnia, że nie da się załatwić takimi prymitywnymi metodami. Nie wyklucza przedstawienia dalszych, jeszcze bardziej nieakceptowalnych żądań, mających na celu obronę własnej niezależności. – Miasto musi zrozumieć, że polityka nękania nas ofertami pomocy prowadzi donikąd – zadeklarował performer Baca. Dodał, że jeśli członkowie kolektywu mieliby ewentualnie zgodzić się na przejście od miasta któregoś z oferowanych im budynków, to tylko pod warunkiem uzyskania pisemnych gwarancji, że będzie to przejście nielegalne i że policja niezwłocznie podejmie próbę usunięcia ich stamtąd siłą.

Dla Małgorzaty praca w EDF to powód do dumy.
Jest jednym z wielu zadowolonych pracowników Grupy EDF w Polsce.
EDF to wiodąca firma energetyczna w Europie.
Funkcjonuje w Polsce od 15 lat i zatrudnia w naszym kraju 3524 pracowników.
Obecnie poszukuje inżynierów do pracy przy nowych projektach inwestycyjnych. Więcej na www.edf.pl



Dwa lata po

Dzień po wielkanocnym poniedziałku wypada druga rocznica katastrofy smoleńskiej. PiS od kilku tygodni szykuje się do obchodów i ma pretensje do strony państwowej, że nazbyt skromnie planuje uczczenie tragedii sprzed dwóch lat. Oficjalne obchody państwowe rozpoczną się o godz. 8.41 pod **pomnikiem ofiar na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach**. W tym samym czasie, po mszy, zgromadzeni wokół Ruchu Społecznego Prezydenta Lecha Kaczyńskiego zwolennicy PiS odprawią pod Pałacem Prezydenckim apel poległych, zapalą tam znicze i złożą tulipany. Kwiaty te mają stać się symbolem drugiej rocznicy. – *Spodziewamy się kilkudziesięciu tysięcy ludzi* – mówi Maciej Łopiński, prezes Ruchu. – *Strona państwowa nie rozmawiała z nami o wspólnym obchodzeniu rocznicy. Nie wiem, jak władze zamierzają upamiętnić ten dzień.* Będą teledyktami i profesjonalne nagłośnienie. Sympatycy PiS zwołują się też na wieczór w wigilię rocznicy przed ambasadą Rosji. Zgromadzeni na Krakowskim Przedmieściu o godz. 16 wysłuchają przemówienia Jarosława Kaczyńskiego, a o godz. 19 będą mogli uczestniczyć w mszy w Katedrze Warszawskiej, by potem przejść w marszu pamięci. Na Krakowskie Przedmieście przyjadą też grupy z Węgier, które gościły niedawno manifestację klubów „Gazety Polskiej”.

W wiadomo, że 10 kwietnia do Smoleńska pojedzie oficjalna polska delegacja pod przewodnictwem ministra kultury Bogdana Zdrojewskiego. Na uroczystości zostały zaproszone rodziny ofiar katastrofy smoleńskiej, a także delegacja z Federacji



© STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS

Rodzin Katyńskich. Ze strony rosyjskiej w uroczystościach ma wziąć udział minister kultury Aleksandr Awdiejew. Będą też osoby reprezentujące Sejm i Senat, Ministerstwo Obrony Narodowej i Prezydenta RP (najprawdopodobniej Sławomir Rybicki, brat Arkadiusza, który zginął w katastrofie). Jeszcze nie wiadomo, ilu bliskich ofiar zdecyduje się na lot, ale większość rodzin ofiar związanych z PiS będzie na Krakowskim Przedmieściu. Prezydent Bronisław Komorowski nie zraża się manifestacjami i rocznicę zamierza uczcić uczestnicząc w mszy w pałacowej kaplicy.

Dla zwolenników Jarosława Kaczyńskiego obchody nie skończą się 10 kwietnia. Wiadomo, że już osiem dni

później, w rocznicę pogrzebu Marii i Lecha Kaczyńskich na Wawelu, spotkają się w Krakowie. Tam również przemówi do nich prezes PiS. Ruch Społeczny im. Prezydenta Kaczyńskiego organizuje także budowę wirtualnego pomnika. Każdy może przesłać swoje zdjęcie i wkleić je w wielką panoramę Krakowskiego Przedmieścia. Ze zdjęć ma powstać wielki plakat, który być może zawiśnie w Warszawie.

W Polsce i za granicą powstało już ponad 300 tablic, obelisków i pomników upamiętniających ofiary katastrofy z 2010 r. Mamy też jedną szkołę im. Lecha Kaczyńskiego i jedną pod patronatem pary prezydenckiej. (DAB.)



© REUTERS/KEVIN LAMARQUE/FORUM

Do raket!

Wygrywając prestiżowy turniej w Miami, **Agnieszka Radwańska** stała się najsłynniejszą dziś (a może i w ogóle) polską sportsmenką, bo tenis jest dyscypliną niezmiernie popularną, masowo uprawianą i oglądaną na całym świecie. Słychać w polskim języku, że uprawianie sportu to raczej domena mężczyzn (mamy „sportowca”, a dla kobiet musimy szukać słownikowej hybrydy), ale honoru i sławy polskiego sportu bronią dziś kobiety: Justyna Kowalczyk i Agnieszka Radwańska. Sukcesy obu pań są systemowym ekscysem, przypadkiem indywidualnych karier, nijak nieosadzonych w państwowych programach szkoleń i selekcji. Czy znajdą naśladowczynie?

Oba sporty, tenis i biegi narciarskie, dają się uprawiać w miarę powszechnie (w odróżnieniu np. od skoków narciarskich), ale osiągnięcie w nich światowego poziomu wymaga niesłychanych wyrzeczeń i sporo sprzyjających okoliczności. Jednak im więcej młodych ludzi uprawia sport, tym większe prawdopodobieństwo, że ktoś kiedyś zawędruje do czołówki światowej. Polecamy zwłaszcza tenis, bo, jak się okazuje, my Słowianie (Słowianki?) mamy do tego sportu jakieś szczególne predyspozycje: w aktualnej czołówce rankingu światowego (Azarenka, Szarapowa, Kvitowa, Radwańska, Stosur i Woźniacka) są wyłącznie panie z naszego szczebu (nawet Australijka Stosur ma polskie pochodzenie). Zatem: dziewczyny, do raket! (J.B.)

Porozmawiajmy o rozmowach

W ubiegłym tygodniu bardzo wiele rozmawiano. W zaciszu gabinetów, na sali sejmowej, w kularach, a także na ulicach. Za pośrednictwem mediów i bez nich. Rozmawiano przyzwoitymi głosami, a czasem krzycząc. Często mówiono też do ściany albo od rzeczy. Kto na tych rozmowach najwięcej skorzystał? Zwycięzców tygodnia jest dwóch. Pierwszym jest koalicja, która wreszcie porozumiała się w kwestii zmian w emeryturach, co z Waldemara Pawlaka nie czyni niewolnika podążającego za zwyczajnym rydwanem Tuska, lecz partnera – coraz trudniejszego i mniej przewidywalnego, ale jednak partnera. Drugim wygranym okazał się przewodniczący NSZZ Solidarność Piotr Duda. Wniosek o emerytalne referendum zgodnie z oczekiwaniami przepadł, ale to Duda w dużym stopniu sprawił, że to, co mogło stać się wyłącznie awanturą, także uliczną, miało sporo walorów merytorycznych.

Dobre sejmowe wystąpienie Dudy zawierało tyle demagogii, ile związkowcy przystoi, ale też sporo argumentów istotnych i ważnych pytań, które w związku z wydłużaniem czasu pracy zadają sobie nie tylko związkowcy. Duda stronił od podlizywania się partiom, otwierał pole do dialogu z rządem. Nie dopuścił, by sejmowa debata zagłuszona została przez krzyki z galerii (zgodził się, że tylko on z ekspertami znajdzie się na sali sejmowej) i jeszcze przed głosowaniem uspokajał



nastroje zgromadzonych na ulicy i coraz bardziej bojowych związkowców.

Piotr Duda wyrasta więc na lidera związkowego nowej generacji. Stawia na sprawność organizacyjną (zebranie prawie 2 mln podpisów to poważne przedsięwzięcie), na różne formy protestu, a nie tylko burzliwe demonstracje, wyraża, czasem bardzo ostro, pracownicze rozczczenia, ale też dostrzega uwarunkowania ekonomiczne. Gdyby sejmowa debata o referendum stała na takim poziomie, jak wystąpienia szefa Solidarności i przemawiającego w imieniu PO Dariusza Rosatięgo czy premiera Tuska (który jednak zawałił sprawę „pętkiem”, ale, szczęśliwie dla premiera, Duda nie tylko nie wykorzystał tej wpadki, lecz przeciwnie – potencjalną aferę rozbroił) i ministra Rostowskiego – można byłoby mówić, że w Polsce trwa poważny dialog o wieku emerytalnym. Niestety, znów zabrakło opozycji.

Wyjątkowo rozczarował Jarosław Kaczyński, który w Sejmie pojawia się rzadko, przemawia jeszcze rzadziej i natychmiast po swoim wystąpieniu wychodzi. Wydawać

by się mogło, że skoro z góry zapowiedział, iż przemówi, może będzie jakieś polityczne wydarzenie, jak to dawnymi laty bywało. Wydarzenia nie było. Kaczyński jest wyraźnie zmęczony, nie ma już nic do powiedzenia, wyjąwszy to, że jak on dojdzie do władzy, pozbawi jej ludzi niegodnych, wysługujących się obcym, skończy wreszcie z postkomunizmem, a wtedy wszystko się ułoży i będzie znakomicie, zwłaszcza urodzi się dużo nowych dzieci. Tę opowieść znamy na pamięć, a nowej nie ma. Tak więc poedynek PiS–partia Ziobry (a ta debata takim pojedynkiem była) wygrali znów ziobryści.

Odziana w kamizelkę protestujących Beata Kempa rzeczywiście poczuła się tak uskrzydłona, że wznosiła się na szczyty emocji, demagogii i populizmu. Trudno wprawdzie ocenić, co mówiła, bo nie słowa, a zwłaszcza nie myśli były w tej „rozmowie” najważniejsze, ale Kaczyńskiego zdecydowanie przykryła. I chyba jednak utrwali się określenie „Skrzydłata Polska”, jak od pewnego czasu zaczęto nazywać Solidarną Polskę Ziobry. Rozwinięte skrzydła Kempy szczególnie dobrze prezentowały się, gdy biegła sejmowymi korytarzami od kamery do kamery.

Ciężki tydzień miał Leszek Miller konwersujący głównie z Januszem Palikotem, chociaż ponoć zdarzyło mu się także śpiewać, że „mury runą” wspólnie z demonstrantami, do których ochoczo spieszył, mimo że Solidarność jakoś nie była nigdy faworytką jego partii. Być może szukał miejsca, gdzie będzie mile przyjęty, bo przecież to on ma wnieść kolejny wniosek o referendum w sprawie emerytur. Sprawa więzień CIA ożywiła Palikota, który ostatnio nie miał zbyt wielu pomysłów i – jak to u Palikota – od razu usłyszeliśmy, że Miller ma krew na rękach i powinien stanąć przed Trybunałem Stanu. Miller odpowiedział, że partia Palikota to „naćpana hołota”, czym zresztą niewątpliwie jeszcze bardziej oddalił pieszczoną przez Aleksandra Kwaśniewskiego wizję jednoczącej się lewicy. Palikot też nic nie wygrał. Koalicyjne porozumienie wyeliminowało go z gry, gdy wydawało mu się, że już jest w ogródku.

Prawdziwym pechowcem w tych rozmowach okazał się jednak Radosław Sikorski, minister spraw zagranicznych. Jego ciekawe exposé o polityce zagranicznej w kraju prawie nie zostało zauważone, co zresztą w Polsce jest już normą i wręcz miarą prowincjonalizmu naszej polityki. Karierę za to zrobiły opublikowane zapisy rozmów Sikorskiego z centrum operacyjnym tuż po katastrofie smoleńskiej. Jarosława Kaczyńskiego nie przekonały i nadal twierdzi, że zapewne był jednak zamach, o którym Sikorski być może wiedział. Rozmowę o zamachu toczyć będziemy w najbliższych dniach, bo przecież zbliża się druga rocznica katastrofy i wołanie o „ujawnienie smoleńskiej prawdy” będzie coraz głośniejsze. Może nawet przejść w krzyk.

Jan Koza



© JAN KOZA

Joanna Solska

Powoli i częściowo



K o m e n t a r z

Sejm odrzucił wniosek Solidarności o referendum w sprawie wydłużenia wieku uprawniającego do emerytury, a dzień wcześniej koalicja w końcu porozumiała się co do kształtu projektu „ustawy 67”. Słowo „sukces” byłoby jednak absolutnie nieuzasadnione, mimo że sam kompromis jest niezły. Granica wprawdzie pozostaje na poziomie 67 lat, ale nie jest sztywna. Kobietom wydróża się okres pracy do 62 lat, potem jednak mogą wybrać

emeryturę częściową. Warunek – muszą mieć przepracowane co najmniej 35 lat. Mężczyźni z tej możliwości mogą skorzystać od 65 roku życia, jeśli ich staż pracy jest nie krótszy niż 40 lat. Częściowe świadczenie ma być liczone od połowy zgromadzonego kapitału emerytalnego, czyli na kokosy nie ma co liczyć. Gdyby jednak, jak chciał PSL, liczyć je od 80 proc. kapitału, to emerytura po osiągnięciu wieku 67 lat byłaby jeszcze niższa. To, ile dostaniemy na starość, nie zależy od koalicyjnych ustaleń, tylko od sumy naszych własnych oszczędności. PSL chciał, byśmy je mogli „przeżyć” wcześniej, w postaci świadczenia częściowego, PO – później, po przekroczeniu 67 lat. Można jednak będzie do emerytury częściowej dorabiać.

Dwa lata dłuższej pracy dla kobiet oznaczają szansę na zgromadzenie wyższego kapitału emerytalnego. Bez wydłużenia wieku wiele pań, mało zarabiających lub mających przerwy w karierze zawodowej, nie odłożyłyby nawet na świadczenie minimalne. Państwo musiałoby im dopłacać. Teraz budżetowi grozi mniejszy wydatek. Dołoży za to z innego paragrafu. Matkom samozatrudnionym oraz tym na tzw. umowach śmieciowych budżet opłacać będzie składkę emerytalną w czasie urlopu macierzyńskiego. Obecnie płaci tylko za matki zatrudnione na etacie. To bardzo ważny nowy element ciągle dziurawej polityki prorodzinnej.

Projekt „ustawy 67” nabiera więc bardziej akceptowalnego kształtu, a jednak społeczny sprzeciw nie staje się mniejszy. I nie jest to sprzeciw – jak zauważył w swoim przemówieniu lider Solidarności Piotr Duda – na zasadzie „nie, bo nie”. Rząd w tej sprawie popełnił chyba wszystkie możliwe błędy. W poprzedniej kadencji wykazał się karygodną krótkowzrocznością. Trudno zrozumieć, dlaczego w minionych latach (nawet jeśli zaważyły na tym kalkulacje przedwyborcze) zarówno kandydat na prezydenta, jak i członkowie rządu zapewniali, że wydłużanie okresu pracy wcale potrzebne nie jest. Można było w poprzedniej kadencji reformy nie robić, ale trzeba było (siebie i nas) do niej przygotować. Nie ma śladów, by Platforma tę pracę domową odrobiła.

Wnajgłębszych szufladach nie widać żadnych projektów ustaw, które można by potraktować jako obudowę dla „planu 67”, nie ma też ustaw ograniczających rozdęte przywileje wielu grup. Braku zmian w KRUS pilnuje PSL. Teraz, za poparcie reformy emerytalnej, ludowcy wyrwali nowe przywileje dla „krusowców”, zamierzają też zdusić w zarodku zapowiedziane przez premiera próby opodatkowania bogatych rolników. Reformę emerytur mundurowych przez wiele miesięcy negocjował minister Michał Boni, ale rezultat tych prac jest żałosny. Po wprowadzeniu „ustawy 67” i wynegocjowanego projektu przywileje mundurowych – wobec praw pozostałych – byłyby po latach relatywnie jeszcze większe.

Teraz, przed Euro 2012, rząd nie będzie drażnić mundurowych. O ruszeniu specemerytur górniczych też boi się nawet pomyśleć. W rezultacie dłużej pracować będą tylko politycznie najslabsi. Nikt też nie pyta, jak mają zaoszczędzić na swoją emeryturę młodzi, coraz częściej zatrudniani na umowach śmieciowych, od których w ogóle składki nie są odprowadzane? „Ustawa 67” rozłożona na prawie 30 lat to nie jest jeszcze reforma emerytalna – co najwyżej jej zapowiedź. Z koniecznością dłuższej pracy pogodzić się trzeba. Ale byłyby to łatwiejsze, gdybyśmy wiedzieli, że nasze państwo traktuje różne grupy społeczne sprawiedliwie. Donald Tusk obiecał nam to jeszcze w swoim pierwszym exposé.



© WITOLD ROZBICKI/REPORTER

10,22

mln zł kosztowało przez cały

zeszły rok użytkowanie ministerialnych samochodów służbowych. W MON jeżdżą 84 takie auta, w MSZ – 68, resorcie finansów – 32, kultury – 13, sportu i turystyki – 10, środowiska – 9. Minister transportu i budownictwa w zeszłym roku wydał ponad 0,5 mln zł na obsługę 28 samochodów. Jego następcą w tej kadencji Sławomir Nowak uważa, że to za dużo i do końca tego roku postanowił pozbyć się siedmiu samochodów. (Dąb.)

Jakie jeszcze oszczędności planują ministerstwa w tym roku, czytaj w wydaniu POLITYKI na iPada.

Dwunastu profesorów

Parlamentarzyści z profesorskim tytułem naukowym postanowili podtrzymać pomysł Joanny Senyszyn (dziś europosłanka SLD) z poprzedniej kadencji i powołali Parlamentarny Zespół Profesorów. Do grupy najlepiej wykształconych parlamentarzystów akces zgłosiło 12 posłów i senatorów, m.in. Tadeusz Iwiński (SLD), Michał Seweryński (PiS), Edmund Wittbrodt (PO). Na razie zaproszenia trafiły tylko do profesorów belwederskich. Jednak, jak zapowiada senator **Piotr Wach**, zespół może otworzyć swoje drzwi szerzej. – *W poprzedniej kadencji to była grupa wyłącznie profesorska, ale teraz*

myślę, że warto doprosić parlamentarzystów, którzy na przykład robią habilitację, tym bardziej że spraw do omówienia mamy bardzo wiele – mówi Wach, w zeszłej kadencji przewodniczący zespołu (w tej też będzie kandydował na to stanowisko).

Wswojej deklaracji profesorowie zapisali, że będą zabiegać między innymi o poprawę statusu materialnego wykładowców i studentów. W poprzedniej kadencji zespół był dość aktywny, zebrał się 21 razy. Efektem jego prac jest raport o uczciwości w nauce, który aktualnie przygotowuje senator Jan Kaźmierczak (PO). W tej



© RAFAŁ LATOSZEK/FOTRZEPA

kadencji profesorowie przede wszystkim chcą przyglądać się, jak w praktyce sprawdza się nowelizacja ustawy o szkolnictwie wyższym oraz ta o nadawaniu stopni i tytułów naukowych. Być może zespół niedługo się rozrośnie, bo kilku posłów jest w trakcie przewodów doktorskich z politologii, m.in. Grzegorz Napieralski i Adam Hofman (pisze pracę o komisjach śledczych). (Dąb.)

AGADIR

PODRÓŻ, KTÓRA
PRZEPEŁNI CIĘ ŚWIATŁEM



Agadir
W MAROKU



www.agadir.travel

TRAVEL FOR REAL

Wawrzyniec Smoczyński



Polski Sarkozy

Słuchając exposé Radosława Sikorskiego, można było uwierzyć, że Polska wyrasta na małe mocarstwo w Europie: koniunktura polityczna nadal dobra, Niemcy naszym najważniejszym partnerem, pasmo sukcesów w Unii, coraz mocniejsza pozycja na Wschodzie. Szef dyplomacji nie ograniczył się do autopromocji – w godzinnym wystąpieniu zmieścił też wykład o suwerenności i wizję federalnej Europy. Były cytaty z Valéry'ego, Havla, Kołakowskiego, Hume'a, Jana Pawła II, św. Jana, Wittgensteina i oczywiście samego Sikorskiego.

Zabrakło tylko odwołań do Nicolasa Sarkozy'ego. Prezydent Francji nie jest idolem polskiego ministra, wręcz przeciwnie, ale podobieństwa między oboma politykami są uderzające: obaj są hiperaktywni, przy czym mnogość inicjatyw przynosi skromne rezultaty. Są zawodowcami, ale gubi ich impulsywność. Potrafią ująć galanterią, ale też zaskoczyć grubiaństwem. Umieją kreślić polityczne wizje, ale też przedstawiać wspólne osiągnięcia jako własne. Słyną z ostrych wypowiedzi o innych, choć sami alergicznie reagują na krytykę.

Zabrakło tylko odwołań do Nicolasa Sarkozy'ego. Prezydent Francji nie jest idolem polskiego ministra, wręcz przeciwnie, ale podobieństwa między oboma politykami są uderzające: obaj są hiperaktywni, przy czym mnogość inicjatyw przynosi skromne rezultaty. Są zawodowcami, ale gubi ich impulsywność. Potrafią ująć galanterią, ale też zaskoczyć grubiaństwem. Umieją kreślić polityczne wizje, ale też przedstawiać wspólne osiągnięcia jako własne. Słyną z ostrych wypowiedzi o innych, choć sami alergicznie reagują na krytykę.

Ministrowi nie sposób odmówić pracowitości. Odbudował resort po rządach Anny Fotygi, zmodernizował też samą politykę zagraniczną w stosunku do czasów Bronisława Geremka. Sikorski jest wszechobecny, ale siła Polski nie rośnie proporcjonalnie do jego aktywności, gdyż ogranicza ją wiele czynników całkowicie poza naszą kontrolą. Mimo to wiara ministra we własne wpływy nie zna granic – w Sejmie sugerował, że po jego „mowie berlińskiej” Niemcy pozwolili EBC ratować banki i wybrały Joachima Gaucka na prezydenta.

Jak Sarkozy, Sikorski miewa chwile świetności – jak owo przemówienie w Berlinie, którym ocalił sprawną, ale do tamtej chwili niemą prezydenturę Polski w Unii. Ale zaraz potem robi coś, po czym opadają ręce – wystarczy wspomnieć niedawną interwencję w berlińskim hotelu Adlon z powodu braku polskich kanałów w telewizorze. Skarga może i słuszna, ale gdy minister smaży w tej sprawie pismo i chwali się tym tym na Twitterze, można pomyśleć, że tak rozumie dyplomację. A to byłoby nieporozumienie.

Byloby lepiej, gdyby chwalenie własnej polityki minister pozostawił innym, a sam powiedział, co będzie miarą jej sukcesu w nadchodzących miesiącach. Jak mówił sam Sikorski, „potrzebujemy chłodnej oceny naszego potencjału i możliwości oddziaływania”. W exposé jej nie było, a jeśli Polsce powinno się noga – np. otrzyma znacząco mniej funduszy z budżetu Unii na lata 2014–20 – propaganda sukcesu zemści się na jej autorze. Sarkozy też roztaczał efektowne wizje, których nie potrafił zrealizować. Dziś płaci za to wysoką cenę.

K o m e n t a r z



Czarny prymas Anglii?

Anglikanie w złych nastrojach. Najpierw w połowie marca prymas Anglii abp Rowan Williams podał się do dymisji po blisko 10 latach urzędowania. Dostojnik nie czuje się na siłach rozładować narastającego w jego Kościele kryzysu. Zaczęło się od wyświęcenia w USA aktywnego geja na anglikańskiego biskupa (POLITYKA 33/03). To nie spodobało się anglikanom konserwatywnym. Kościół niezgody są także święcenia biskupie dla kobiet oraz zgoda na małżeństwa homoseksualne. A zarazem anglikanie szczytą się, że są współnotną otwartą, demokratyczną, tolerancyjną, pluralistyczną.

Nurt liberalny z konserwatywnym miał pogodzić dokument nazwany przymierzem. Dyskusja nad nim trwa wśród anglikanów od ośmiu lat. Chodzi o uniknięcie gorszących waśni albo i rozłamu. Projekt przymierza postuluje, by Kościoły członkowskie Wspólnoty Anglikańskiej nie podejmowały decyzji pochopnie i bez szerokiej konsultacji. 80-milionowa Wspólnota liczy 38 Kościołów narodowych i regionalnych. Na razie tylko osiem przyjęło projekt. Ale pod sam koniec marca odrzucił go sam Kościół Anglii – matka wspólnoty.

Bez przymierza Kościół może jakoś funkcjonować, ale nie bez nowego prymasa. Tego wybierze wkrótce specjalne ciało w konsultacji z premierem Wlk. Brytanii (Kościół anglikański jest instytucją państwa brytyjskiego). Niewykluczone, że następcą abp. Williamsa zostanie abp dr **John Sentamu**. Byłby to pierwszy w historii czarnoskóry prymas anglikański. Czyżby anglikanie mieli zrobić to, co wciąż wahają się zrobić katolicy?

Rządy rozwodników

Swedzki premier Fredrik Reinfeldt i jego żona Filippa ogłosili publicznie decyzję o separacji. Rozstają się po 20 latach związku, w którym mieli trójkę dzieci. Dotychczas uchodzili za wzorową parę i traktowano ich jako szwedzki odpowiednik amerykańskiej rodziny Clintonów; podobnie jak oni młodzi, przystojni i pełni sukcesów. Filippa była również aktywna w polityce. Przyczyn separacji nie podano, ale wszyscy się domyślają, że chodziło o to, że Reinfeldta nigdy nie było w domu. Akcje premiera, osłabione już wcześniej rządowymi propozycjami pracy do 75 roku życia, po zapowiedzi separacji spadły jeszcze bardziej.

Będzie to już trzeci z rządu, po Carlu Bildtcie (1996 r.) i Göranie Perssonie (2002 r.), rozwód wśród szwedzkich premierów. W ostatnich miesiącach na drogę rozwodową wstąpiły też dwie „ministrzy” w rządzie Reinfeldta: Nyamko Sabuni i Anna-Karin Hatt. Szwedzka prasa ostrzega w związku z tym, że kto chce ratować swoje małżeństwo, nie powinien się raczej ubiegać o ważną rządową posadę.

Most z Palestyny do Palestyny

Marc Mimram, światowej sławy francuski architekt i konstruktor, który zbudował most nad Renem łączący Kehl w Niemczech ze Strasburgiem we Francji oraz kładkę spinającą paryskie ogrody des Tuileries z Muzeum d'Orsay, na własny koszt zaprojektował budowę czteropiętrowego wiaduktu o długości 37 km, który miałby – ponad terytorium izraelskim – połączyć dwie części Palestyny: Strefę Gazy i Zachodni Brzeg. Do nakreślenia tego niezwykłego projektu zmobilizowała Mimrama wieść o możliwości pojednania Hamasu i Fatahu oraz planowanych wspólnych wyborach do władz Autonomii Palestyńskiej. Wiadukt przebiegać miałby na wysokości 20 m nad ziemią i składać się z czterech poziomów: dla ruchu samochodowego i kolejowego, do transportu wody słodkiej i do pompownia wody morskiej przeznaczonej dla wysychającego Morza Martwego. Południowy front konstrukcji wyłożony zostałby panelami absorbującymi energię słoneczną, stając się największą na świecie elektrownią.

Do budowy droga daleka. Izraelowi na pewno nie spодoba się eksterytorialny wiadukt wzniesiony na jego terytorium, zarządzany przez Palestyńczyków. Nie wiadomo także, skąd miałyby popłynąć miliardy na budowę. Na razie wielki optymizm zachowuje tylko autor projektu.



Uroczystości pogrzebowe Georga Tupou V

Tonga smuci się i cieszy

George Tupou V, 63-letni król polinezyjskiego archipelagu Tonga, był władcą postępowym – i jako taki zapisze się pewnie w pamięci 106 tys. poddanych tej jedynej monarchii na Pacyfiku niepołączonej koroną z Londynem. Panował tylko 8 lat, po 40 latach absolutnej władzy jego ojca Tupou IV. Po tamtej śmierci doszło do bezprecedensowych zamieszek i zniszczeń: naród chciał zmian. Syn podjął to wyzwanie, odłożył koronację o dwa lata i przygotował reformy. Do parlamentu po raz pierwszy wpuścił lud (dotychczas zasiadali w nim przedstawiciele dobrze urodzonych, spośród 33 rodzin), zwiększył jego kompetencje i udział w wyborze premiera. Sobie pozostawił prawo weta (i użył go niedawno przy ustawie liberalizującej posiadanie broni). Wyształony w Wielkiej Brytanii (Oxford, Cambridge i Sandhurst) pozostał anglofilem; miał słabość do mundurów, nosił monokl i poruszał się odkrytą londyńską taksówką. Był kawalerem, miał córkę i wnuczkę; tron po nim objął młodszy brat Lavaka, dziś Tupou VI, który, jak mówią lokalni znawcy, będzie kontynuował dzieło brata.

Księżę królem NBA

Kiedy ludzie słyszą, że jestem księciem, kod razu myślą: Eddie Murphy, i przypominają sobie „Księcia w Nowym Jorku” – mówi **Luc Mbah a Moute**, Kameruńczyk grający w NBA. Rzeczywiście Mbah jest księciem, urodził się i dorastał w Kamerunie, jako trzeci, najmłodszy syn wodza wioski położonej niedaleko stolicy kraju Jaunde. Jego ojciec jest też dyrektorem generalnym kameruńskiego Narodowego Funduszu Zatrudnienia. „Ale w przeciwieństwie do bohatera »Księcia w Nowym Jorku« na banknotach w Kamerunie nie ma mojej twarzy” – śmieje się Mbah.

W koszykówkę zaczął grać jako 12-latek, trzy lata później należał już do czołówki juniorów Kamerunu, a jako 18-latek zaczął grać w Stanach, by kolejne trzy lata później spełnić swoje marzenie i zostać zawodowym koszykarzem. Dziś ma 25 lat, jest jednym z siedmiu pochodzących z Afryki zawodników, wyróżnia się wzrostem (2,03 m), zwinnością i stylem gry. Jako doskonały napastnik nie tylko przez lata utrzymał się w jednej z najlepszych światowych lig, ale ostatnio podpisał kolejny czteroletni kontrakt z Milwaukee Bucks, a jego pensja wzrosła trzykrotnie, dzięki czemu na czysto zarobi 19 mln dol.

Kandydat na Antychrysta

Skandalizujący oligarcha i polityczny emigrant **Borys Bierzowski** zapowiedział na swoim blogu powołanie Chrześcijańskiej Rewolucyjnej Partii Rosji, której celem będzie, jak sam pisze, złamanie złodziejskiego reżimu Putina i pogańskiej partii władzy. Polityczna inicjatywa byłego pupila klanu Jelcyna, a obecnego krytyka Kremla, zostanie symbolicznie zainaugurowana 15 kwietnia w prawosławnej Wielkanoc. Rzecznik Patriarchatu Moskiewskiego protorej Wsiewołod Czaplina natychmiast poradził Bierzowskiemu przestudiowanie

Apokalipsy, a szczególnie fragmentu o Bestii, której opis jak ułaj pasuje do oligarchy. Zdaniem rzecznika „Antychryst jest wyjątkową postacią i pretendent do tego miana winien iść drogą, po której od dawna kroczy Bierzowski”. W styczniu tego roku oligarcha opublikował list otwarty do patriarchy Cyryla, w którym prosił o udział Kościoła w „bezkrwawej zmianie władzy”. Również wtedy spotkał się z rypostą Czaplina, proponującego, aby Bierzowski zajął się „prognozowaniem procesów politycznych w Wielkiej Brytanii, gdzie mieszka, a nie w Rosji”.



© AP/EEAST NEWS



Sterroryzowane prawo

Rozpętała się awantura w sprawie tajnego aresztu CIA w Polsce. W Tuluzie policja zastrzeliła bandytę; jego rodzina oskarża, że go zamordowano. W Norwegii zbliża się proces Breivika, któremu być może grozi jedynie leczenie psychiatryczne. Za to na Białorusi rozstrzelano dwóch młodych ludzi oskarżonych o zamach terrorystyczny. Te na pozór odległe sprawy coś łączy.

MAREK OSTROWSKI

Demokratyczne procedury prawne źle sobie radzą z terrorystami czy sytuacjami ekstremalnymi. Wciąż na nowo zadajemy sobie pytanie: czy nasze zachodnie standardy obrony praw człowieka powinny mieć zastosowanie wobec terrorystów? Czy musimy wybierać między naiwnością a brutalnością działań państwa? Jaki powinien być zakres swobody rządów w prowadzeniu tajnych operacji? Czy można dać blankietową zgodę na łamanie praw człowieka w imię bezpieczeństwa państwa?

Zacznijmy od tego, co dzieje się w Polsce. Jak wiadomo, w związku ze sprawą więzień CIA zarzut popełnienia przestępstwa postawiono b. szefowi Agencji Wywiadu Zbigniewowi Siemiątkowskiemu; mówi się też o odpowiedzialności politycznej b. premiera oraz innych dygnitarzy. Powstały dwa obozy. Jedni mówią: nie ruszać tej sprawy, tajemnica to tajemnica, trudno, racja stanu. Druzdy: przecież nie możemy zamykać oczu na bezprawie i niemoralność; trzeba wszystko wyjaśnić, winnych ukarać. Ponieważ sprawa wciąż wraca (patrz „Pochwała hipokryzji”, POLITYKA 24/11), spróbujmy odrobić tę lekcję.

Po 11 września i śmierci w WTC prawie 3 tys. ofiar doskonale rozumiano westernową pogroźkę George'a Busha, że dopadnie sprawców zbrodni. Pewnie każdy zaatakowany tak brutalnie kraj reagowałby tak samo. Afganistan nie chciał wydać szefa Al-Kaidy, wojska ruszyły, aby zniszczyć jego bazę. Żołnierze pochycili wielu uzbrojonych mężczyzn, od których próbowano wydobyć zeznania. Polska – i wiele innych krajów – publicznie deklarowała pomoc Amerykanom; sojuszników więżą oficjalne umowy o współpracy wojska, wywiadów, służb specjalnych i policji. Loty samolotów, międzyśladowania, अपrowizacja, ułatwienia techniczne w Polsce – nie powinny budzić żadnej sensacji ani dezaprobaty.

Co innego tajemność operacji, dezinformowanie społeczeństwa i zarzut tortur. Władze nie mogą w takich wypadkach przymykać oczu, bo byłoby to sprzeczne z porządkiem konstytucyjnym. I – ciekawe – polityk w razie wpadki nie może się powołać na „rację stanu”. Racja stanu nie istnieje w konstytucji. Ostatecznie – w razie procesu o łamanie praw człowieka – oskarżony mógłby twierdzić, że działał w „stanie wyższej

konieczności” (poświęcam jedno dobro, bo mam ratować inne, ważniejsze), ale czy taka obrona byłaby skuteczna?

Cały świat tajnych służb już z samego założenia stoi w sprzeczności z fundamentalnymi zasadami państwa prawa: jawnością działań i procesem otwartym dla publiczności. A przecież żadne państwo nie rezygnuje z takich służb, traktując ich działalność jako brudną, lecz konieczną robotę do wykonania. Jak zatem tajne służby wpasować w gmach demokracji?

Po pierwsze, musimy znaleźć dostatecznie wiele publicznych argumentów, by tajność uzasadnić. Po drugie, trzeba ciągle pytać, czy mechanizm kontroli pozwala na przeciwdziałanie patologiom? Historia dowodzi, że służby tajne często się degenerują, stają się imperiami, do których cywilni urzędnicy państwa nie mają wstępu. Wchodzi właśnie na ekrany film o Edgarze Hooverze, twórcy FBI, który – choć służba była jawna – zbudował całą machinę prawdopodobnie szantażującą władze.

Politycy z najwyższej półki, również w Polsce, powinni więc z góry wiedzieć, że ktoś musi stale patrzeć na ręce tajnym agentom. Komisje parlamentarne zwykle są słabo przeszkolone, łatwo je ograć,

powołując się na tajność uzasadnioną interesem państwa. Na pewno operacje w toku wymagają ścisłej tajemnicy, ale chyba można już szczegółowiej mówić zaufanym osobom o operacjach zakończonych? Takie standardy przyjęto w większości krajów demokratycznych: to politycy, często odpowiedni ministrowie, sprawują nadzór nad służbami. Pytanie: na ile skuteczny?

Walka z terroryzmem to nie robota dla profesorów prawa, co nie znaczy, że agenci w terenie mają wolną rękę. Powieściowy James Bond nosił kryptonim 007 i hobbyści wiedzą, że prefiks 00 oznaczał swobodę decydowania o życiu i śmierci wrogów, „licencję na zabijanie”, w tym i na tortury. Jednak to wymysł powieściopisarza. Żadna cywilizowana służba nie dostaje takiej licencji. Byłoby to całkowite bezprawie. Nie można planować zabójstwa. Rozkazy zawsze zakładają pojmowanie poszukiwanego, dopiero w razie jego oporu – „użycie siły”.

Dla wywiadu (czyli działań za granicą) wygląda to tak: opracowana koncepcja działania musi zyskać akceptację polityczną, służby przedstawiają też prognozy skutków takich operacji – w tym i wizerunkowe. W kraju konieczna jest zgoda prokuratora. Ktokolwiek na taką operację idzie – ma dokładną instrukcję na piśmie, zatwierdzony jej plan. Dalej to już jak na wojnie. Pamiętamy nieszczyśliwą operację przeciw uzbrojonym bandytom w Magdalence, która skończyła się dużo gorzej niż ta w Tuluzie. Mimo to, kiedy we Francji opozycja chciała przyjrzeć się działaniom sił antyterrorystycznych – premier odmówił zgody na przesłuchanie szefów służb specjalnych w senacie. Obowiązek dyskrekcji nie jest zapisany w prawie, to tradycja republikańska.

W Polsce mleko się rozlało. Postępowanie prokuratorskie w sprawie przetrzymywania więźniów trwa od dawna. Teraz postawiono zarzut z art. 231 kk, który brzmi: „Funkcjonariusz publiczny, który, przekraczając swoje uprawnienia lub nie dopełniając obowiązków, działa na szkodę interesu publicznego lub prywatnego, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3”.

Jak przekroczył uprawnienia, jak nie dopełnił obowiązków? – nie wiemy. Nie przyjeżdżał i nie patrzył, co Amerykanie robią na Mazurach? Pierwszy prezes Sądu Najwyższego – on osobiście decyduje o tym, czy tajność zachować, czy nie – nakazał przekazanie prokuraturze materiałów o współpracy polskich służb z CIA. Widocznie nie bez powodu. Co dalej? Sprawa trafi do sądu? W kilku innych krajach w analogicznych sprawach sądy albo odmówiły rozpatrywania (ostatnio na Litwie), albo – jak wcześniej we Włoszech – po skazaniu agentów sprawa trafiła do Sądu Konstytucyjnego, który orzekł,

że sądownictwo włoskie w ogóle przekroczyło swoje uprawnienia wykorzystując w procesie tajne dokumenty istotne dla bezpieczeństwa państwa.

Nie bardzo wiadomo, czy polska prokuratura potrafi przed sądem poradzić sobie z procesem bez jakichkolwiek dowodów (świadców, dokumentów) ze strony amerykańskiej. Ostatecznie, jak przypuszczamy, ewentualny zarzut tortur można postawić jedynie Amerykanom. Wiadomo z góry, że władze USA nie będą tej sprawy ani wyświeślać, ani pomagać przy jej rozpatrywaniu. Komunikat był jednoznaczny już w październiku 2009 r. Amerykańskie ministerstwo sprawiedliwości (a więc władza wykonawcza), mimo wiążącego nas traktatu o pomocy prawnej, ogłosiło – powołując się na bezpieczeństwo narodowe – że nie będzie udzielać żadnych informacji. Co więcej, uważa sprawę za zamkniętą.

Chociaż to decyzja rządu, sądy amerykańskie szanują tajemnice rządowe. W Ameryce rozpatrywana już była skarga przeciwko firmie Jeppesen Dataplan – tej samej, która organizowała loty na lotnisko w Szymanach. Skarżący się, rzekomo torturowani, nie zarzucali tortur firmie lotniczej, lecz dowodzili współsprawstwa: że firma musiała wiedzieć, jakim zadaniom służy. Sąd jednak odrzucił skargę. Uzasadnienie: proces mógłby ujawnić tajemnice ważne dla bezpieczeństwa kraju. Słowem, władza sądownicza sama orzekła, że nie jest to sprawa dla niej (było co prawda votum separatum: część sędziów uznała, że odmowa drogi sądowej jest zbyt drastyczna).

Sądy amerykańskie kierują się precedensami, m.in. sprawą Reynoldsa z 1948 r. Chodziło w niej o to, że trzech cywilnych inżynierów radiowych zginęło w katastrofie wojskowej superfortecy B-29 podczas badania elektroniki samolotu. Wdowy po zabitych domagały się odszkodowania, ale lotnictwo nie chciało ujawnić raportu o katastrofie. W ostatniej instancji Sąd Najwyższy uznał, że armia musi mieć swoje tajemnice w interesie bezpieczeństwa. Precedens sprawy Reynoldsa oznacza tyle, że sądy nie zajmują się sprawami, które naruszają tajemnice rządu. Czy to – w systemie demokratycznym – nie nadmierne zaufanie do rzetelności rządu? Danie wolnej ręki? Tym bardziej że pół wieku później okazało się, iż raport o katastrofie żadnych tajemnic nie zawierał.

Sędziowie amerykańscy często jednak wskazują, że zamknięcie drogi sądowej nie oznacza, że rząd – mając pełny dostęp do tajnych informacji – nie może sam ocenić, czy doszło do bezprawia, czy nie. A jeśli naruszono prawa człowieka i wyrządzono krzywdy – rząd może znaleźć sposoby ich naprawienia, a przy tym zachować swoje tajemnice.

Poza tym w systemie amerykańskim odszkodowanie może wypłacić parlament uchwalając indywidualną ustawę. Takie zalecenia sądowe formułowano w sprawach, w których w walce z terrorystami dochodziło albo do wyraźnego bezprawia, albo do pomyłek. Inna rzecz, że urzędnicy rzadko sami przyznają się do winy, a już na pewno z własnej inicjatywy nie wypłacają odszkodowań.

Szukanie innych dróg niż publiczny proces wpływa ze skrytego przekonania, że procedury demokratyczne nie pasują do ekstremów. Szlachetna starożytna maksyma zakłada, że prawa ustanawiane są dla sprawiedliwych nie po to, by nie popełniali nieprawości, lecz by jej nie doznawali. Zasadą jest domniemanie niewinności.

Zakładamy, że człowiek, także podejrzany terrorysta czy szaleniec, jest niewinny. Nowoczesna procedura karna nie jest więc bezstronna, lecz daje fory podejrzanemu i oskarżonemu. On nie musi niczego wyjaśniać, może milczeć, a nawet oszukiwać śledczych. Prokurator ma udowodnić winę i to w najmniejszym szczególe. To często zasady trudne do dochowania. Weźmy złapanych w Afganistanie, prawdopodobnie w walkach albo bazach szkoleniowych (zabójca z Tuluzy był w takiej bazie). Kto miał czas na protokoły, oględziny, sekcje zwłok ofiar, zebranie dowodów na miejscu? Dobrze określił te osoby Daniel Fried (POLITYKA 10/11): „ani winni, ani niewinni”. Każdy dobry adwokat doprowadziłby do uniewinnienia tych aresztowanych. Więc ich wypuścić? USA zabiegały, by kraje sojusznicze wzięły – każdy po kilku – tych więźniów do siebie. Chętnych nie było.

W połowie ub. roku doszło w naszym sąsiedztwie do dwóch głośnych zbrodni – zabicia kilkudziesięciu osób na norweskiej wyspie i podłożenia bomby w białoruskim metrze. Morderca Anders Breivik, o którego zbrodni wiemy chyba wszystko, dopiero czeka na proces i nie wiadomo, czy trafi za kraty, czy raczej do szpitala psychiatrycznego. Norweski wymiar sprawiedliwości nieźle się musi nagimnastykować, by w ogóle utrzymać zbrodniarza w areszcie, bo ze szpitala, gdzie najpewniej trafi – może uciec. Z kolei dwaj młodzi ludzie z Witebska, co do których winy za zamach w metrze w Mińsku nawet większość Białorusinów ma wątpliwości, zostali już dawno rozstrzelani.

Patrząc z pewnym współczuciem na kłopoty prawne Norwegów, nie zardzościmy przecież skuteczności prawa i państwa na Białorusi. Zasada ograniczonego zaufania obywateli do państwa ogranicza jego skuteczność, ale także ryzyko nadużyć. Chyba jest tak, że współczesna demokracja polega na nieustannym szukaniu punktu równowagi między sprzecznymi racjami i wartościami. ■

Kupię jej ten kwiatek

Lech Wałęsa o swoim życiu rodzinnym
i głośnej książce swojej żony



JANINA PARADOWSKA: – Panie prezydencie, przeczytał pan książkę swojej żony „Marzenia i tajemnice” czy też zna ją pan tylko we fragmentach?

LECH WAŁĘSA: – Przeczytałem i niechętnie o niej rozmawiam, właściwie nie rozmawiam, zrobiłem teraz wyjątek i też nie wiem, co będzie. Kiedy wychodziłem z domu, powiedziałem żonie, że umówiłem się z panią, a ona: ale nie rozmawiajcie o książce.

Pan mi obiecał tę rozmowę.

Obiecałem i rozmawiamy. W tej książce właściwie wszystko jest prawie całą prawdą, ewentualne niedoróbki można zapisać na konto niepamięci, ale nie każda prawda jest wychowawcza. Czasami trzeba potrafić ugryźć się w język.

Kiedy pana żona powinna była ugryźć się w język?

W różnych miejscach, kiedy pisała o księdzu Jankowskim, o biskupach. Zbyt łatwo podsumowuje niektórych ludzi. Choćby ten wyjazd po Nagrodę Nobla, że postawiłem ją przed faktem dokonanym, nie zapytałem, czy chce jechać.

Czy nie należało zapytać: wystawiam cię na ciężką próbę, sprostasz?

Sam nie mogłem wyjechać, mogli mi przecież nie pozwolić wrócić. Były jednak świetne działaczki Solidarności, byli działacze na emigracji, to była wprawdzie nagroda osobiście dla mnie, ale głównie za Solidarność i dla Solidarności, i ktoś z nich mógł odebrać nagrodę, reprezentować. Postanowiłem, że pojedzie żona, właśnie dlatego, że jest tak ważna, a teraz różne osoby mogą podejrzewać, że ja coś chciałem ukryć, posyłając właśnie ją, może coś z pieniędzmi, że robię z tego Nobla jakąś prywatę.

Przesadza pan, panie prezydencie.

Ludzie są różni i różne rzeczy już mnie w życiu spotykały, nawet kiedy pomagałem z dobrej woli, bo widziałem taką potrzebę, kiedy przekazywałem na związek własne pieniądze. Dziś wiele spraw może wrócić.

Czy pan mi chce powiedzieć, że ta książka mogła zmienić stosunek do pana ludzi, na których panu zależy, przyjaciół, że może obudzić wrogów?

Na razie nikt różnych wątków nie zauważa, ale ja zauważam. Dlatego dziś jestem w takim miejscu, w jakim jestem, że wcześniej niż inni wiele zauważałem, przewidywałem.

Czy w ogóle po ukazaniu się książki ktoś z dawnych przyjaciół, kolegów zgłosił się do pana z pretensjami, że został źle opisany, niesprawiedliwie?

Gdyby książka ukazała się w innym momencie, kiedy mocniej grały emocje, mógłbym mieć spore kłopoty, dziś wiele tych emocji już wygasło. Ale na pewno w ludziach obudziły się różne wspomnienia, ta książka musi mieć też wpływ na mój wizerunek, zapewne są tacy, którzy mają prawo mieć żal. Podam pani jeden przy-

kład, miałem bardzo dobrego znajomego, przyjaciela, który ogromnie wiele dla mnie zrobił, a w książce pokazany jest w jednym epizodzie, kiedy podczas przyjęcia ogrodowego poszedł do WC, drzwi się zacięły, on w nie walił, aby go uwolnić. I tak już pozostanie. Wiem, że w takiej książce, żeby się dobrze sprzedała, potrzebne są smaczki, pikantne anegdoty, ale jednak powinna być dla ludzi sprawiedliwa. Będą też tacy czytelnicy, którzy uznają, że byłem bardzo niedobrym mężem, bo ludzie na ogół dość prosto patrzą na skomplikowane sprawy. A moje życie było skomplikowane, rodzina, praca, walka. Jak tu żyć? Poradzić?

Tamte emocje wygasły i, jak mi się

wydaje, dziś pan zмага się przede

wszystkim z własnym życiem

rodzinnym, problemami, jakie ono

niosło, które się teraz ujawniły.

W jakich jeszcze sprawach, już nieko-

niecnie politycznych, związkowych,

uważa pan, że żona powinna była

ugryźć się w język?

Mówi, że nawet kwiatka jej nie przyniosłem, że zawsze była krok z tyłu, za mną. Proszę pani, trzeba umieć się umiejscowić w czasie i przestrzeni. Zrozumieć, że to nie była niechęć, niedbalstwo, niedobry mąż, który nie zwracał na takie rzeczy uwagi, a z książki takie wnioski można wyciągać. To były czasy, kiedy momentami nie wiedziałem, jak się nazywam, i jeszcze miałem myśleć o kwiatku? Przynosiłem całe naręczą, wielkie wiązanki kwiatów i ten jeden dodatkowo? Jedna róża ode mnie? Czy to w ogóle byłoby zauważone?

Były sytuacje, gdy nie było wielkich

wiązań. Żona pisze, że urodziła

drugiego syna i nie dostała kwiatka,

podobnie jak przy pierwszym.

Chyba to nieprawda, tu akurat bym się sprzeczał. Na początku, kiedy jeszcze nie byłem tak zaangażowany w politykę, byłem dobrym mężem i wtedy o kwiatku bym nie zapomniał.

Żona przyznaje, że to był najlepszy okres waszego małżeństwa, właściwie wymarzone życie, ale cofnijmy się mocno w czasie. Mamy ten październik 1968 r., przechodzi pan koło kiosku z kwiatami, rozmienia pan pieniądze i co pana fascynuje w tej kwiatarni?

Miałem już wtedy blisko 26 lat i normalnie oglądałem się za dziewczynami, ale to nie była jakaś miłość od pierwszego wejrzenia. Te pierwsze spojrzenia nie były jakoś specjalnie poważne, wtedy myślało się, żeby poderwać, rozerwać się, ale tak to trwało i okazało się, że było to jednak przeznaczenie. Po prostu tak zrzucił przypadek, może los, a potem przychodzi przyzwyczajenie, ono staje się coraz większe. Miesiąc wcześniej byłem zresztą w domu i matka powtarzała: przecież jesteś już stary, kiedy ty się wreszcie ożenisz, ułożysz sobie życie? Odpowiadałem, że jeszcze nie czas,

a miesiąc później meldowałem, że będziemy brali ślub.

Czyli jednak miłość?

Chyba tak, ja jednak jestem człowiekiem, który wierzy w przeznaczenie, i myślę, że było nam tak przeznaczone. Jest takie wiejskie przysłowie: co komu przeznaczone na drodze rozkraczone. Dopiero gdy odchodziłem od ołtarza, tak naprawdę zastanowiłem się, co zrobiłem, i uświadomiłem sobie, że znalazłem się w zupełnie nowej sytuacji. Czasem człowiek jest w takim stanie, czymś na kształt amoku, że nie do końca uświadamia sobie, co się dzieje, co robi, jakie będą skutki.

Pożalował pan decyzji o ślubie?

Ależ skąd, tylko zorientowałem się, że zmieniłem swoje życie, że nic już nie będzie takie samo jak w kawalerskich czasach, bo już jesteśmy rodziną. Pochodzę z tradycyjnej wiejskiej rodziny, w której panowała prosta filozofia i wyraźny podział ról: kobieta jest w domu i wszystko w nim ogarnia, a mężczyzna przynosi środki, pieniądze, żeby miała czym zarządzać. Na ten temat nie ma żadnej dyskusji. Tak jest z dziada, pradziada. I ja wybrałem sobie żonę w tej właśnie koncepcji, że jest najważniejszą osobą dla mnie, ale ma być w domu, ja też jestem dla niej najważniejszy i staram się o utrzymanie rodziny. Myślę, że do czasu ukazania się tej książki z taką filozofią małżeństwa się zgadzaliśmy. Dopiero książka tę filozofię zmieniła.

Wydaje się, że filozofię małżeństwa pana żona miała jednak nieco inną, książka ją tylko ujawniła.

Nie dawała mi wcześniej tego poznać. Książka ją usamodzieliła.

I pan nie może się z tym pogodzić?

To boli?

Prawda, nie mogę się z tym pogodzić, chociaż pewnie muszę. Mówię tylko, że gdybym od początku chciał mieć żonę samodzielną, prowadzącą swoje zupełnie inne życie, to ożeniłbym się z inną kobietą. Dziś dla niej wiele rzeczy jest ważniejszych ode mnie, znalazłem się na drugim, trzecim planie, bo ważne są spotkania literackie, wyjazdy. Dla mnie to wielka psychiczna zmiana. To nie jest kwestia zazdrości, że jej książka i ona sama robią karierę, że ona się usamodzieliła. Ja nie potrafię rozstać się z tą swoją filozofią, kim ma być żona.

Boli, że Lech Wałęsa nie jest już na pierwszym miejscu?

Nie tyle boli, ile zupełnie zmienia świat wokół mnie, system, w który się wychowałem, że ty masz dom, ja jestem poza domem. Ja uważałem, że jestem u niej na pierwszym miejscu, ona jest też na pierwszym u mnie, a teraz na pierwszym miejscu u niej znalazły się inne sprawy. Teraz ona wychodzi poza dom i nic mi się już nie zgadza. Wiem, że gdy to mówię, jestem staroświecki, długo sobie tego nie uświadamiałem, książka zmusiła mnie, aby i o tym pomyślał. ►